

I/904

Relacja Wiesława Zahaczewskiego z 12.06.1991 r.  
=====

## © ARCHIWUM WSCHOĐNIE

Nazywam się Wiesław Zahaczewski, urodziłem się we Lwowie 4 XII 1925 r. Mój ojciec był leśnikiem, matka natomiast nauczycielką. Mieszkali poza Lwowem, ale do Lwowa często przyjeżdżali. Ja byłem we Lwowie w Bursie Ormiańskiej przy ul. Skarbkowskiej 21. Byłem tam od I klasy szkoły powszechnej do I klasy gimnazjum. Dlatego w tej bursie, bo mój wujek, który mieszkał we Lwowie, był Ormianinem, nazywał się Moszoro. Przez jego własnie protekcje dostałem się do tej Bursy. Tam przeżyłem tych kilka lat, odwiedzając oczywiście często liczne rodziny rozsiadane po Lwowie, ponieważ nie należałem do zbyt łatwych dzieci, łatwych w tym sensie, że posłusznych i grzecznych, tylko zawsze mnie coś karcilo do jakiegoś psucia czegoś czy bawienia się czymś, co nie zawsze się podobalo dorosłym, w związku z tym starano się stworzyć mi jakiś taki tryb wychowawczy w miarę zdyscyplinowany, żebym ja sobie na te rzeczy mógł jak najmniej pozwolić. I takim miejscem, w którym kwitł ten tryb wychowawczy, to była właśnie Bursa Ormiańska. Wychowywał nas tam zarówno świecki personel dydaktyczny, jak i księża oraz zakonnicy katoliccy i ormiańscy. Bursa była przeznaczona głównie dla dzieci ormiańskich, ale zdarzały się przypadki, że jeżeli ktoś miał w rodzinie Ormianina, a jeszcze miał protekcje, tak jak ja, to był przyjmowany.

Życie w tej bursie płynęło, moim zdaniem, ciekawie i przyjemnie. Na wszystkie wakacje wyjeżdżałem do domu, byłem zabierany do kolejnych miejscowości zamieszkania rodziców, bo ojciec

w związku ze swoim charakterem pracy czasem się przanoził z lesniczowki do lesniczowki. Pierwsza taka miejscowość, to była Basiówka, pod Lwowem. Przy czym rodzina moja, stryj Zahaczewski mieszkał w Krasowie, natomiast drugi brat ojca mieszkał w Kochajowie. To była też lesniczowka, bardzo ładna zresztą. I myśmy tak w kregu tych lesniczówek wędrowali. Ja sam urodziłem się we Lwowie, ale właściwie są dwie wersje. Jedna wersja, dokumentalna mówi, że się urodziłem we Lwowie, natomiast druga jest taka, że urodziłem się w Basiowce. I jak ktoś mi chciał dokuczyć, to mówił - ty, z Basiówki! Na co ja się oczywiście obruszałem.

Miałem **dwie** siostry - jedna, która była moja bliźniaczka - Iwonka i druga, o <sup>5 lat</sup> starsza Nina.

Po ukończeniu szkoły powszecznej i zdaniu do gimnazjum w 1936 r. we Lwowie, na Wałach Batorego pamiętam jedyne wydarzenie - dostałem od ojca piękną gimnazjalną czapkę. Po wyjściu z tego gimnazjum paradowałem przez cały Lwów w tej czapce. Nie chciałem w nią wsiadać, tylko na picchotę chciałem paradować przez całe miasto.

Siostra chodziła do Nazaretanek i mieszkała u wujka Hożoro. Był on wicedyrektorem Banku Gospodarstwa Krajowego we Lwowie.

Mieliśmy bardzo rozległą rodzinę i ta rodzina bardzo zintegrowana, szalenie spójna, szalenie kochająca się. Było wielkim świętem, jeżeli ktoś odwiedzał kogoś z rodziny. Takie odwiedziny miały miejsce stale, non stop, myśmy zawsze byli w kregu rodzinnym.

W tym czasie, gdy zdawałem do gimnazjum, to ojciec już nie był lesnikiem. Był wówczas wojtą w miejscowości Szkoło pod Lwowem. Było to znane wówczas uzdrowisko z kąpielami borowinowo-siaroczanymi. Natomiast matka była kierowniczką szkoły

polskiej, dlatego, że te wsie były w 80-90 % ukraińskie, we wsi, w której matka była kierowniczką szkoły, były właściwie tylko dwie rodziny polskie, tzn. nasza rodzina oraz rodzina drozdnika, który mieszkał przy szosie i zajmował się pracami drogowymi. Była to wieś Jażów. Była to wieś leżąca ok. 30 km od Jaworowa, na linii między Lwowem a Jaworowem. Jak powiedziałem, była to wieś rzeczywiście ukraińska, z cerkwią, a nie kościołem, z tym, że istniały tam powiedziałbym dobre zasady współistnienia między nami a Ukraińcami. Nikt tam sobie nie robił żadnych przykrości. My byliśmy bardzo zżyli z księdzem ukraińskim, z popem, który tam był centralną postacią we wsi. Nauczał też religii w szkole.

Tam mieszkali rodzice, tylko że ojciec codziennie z Jażowa dochodził pieszo do miejsca pracy w Szkle. A myśmy tam przejeżdżali, jak tylko nadarzała się okazja - święto, czy wakacje. Przyjeżdżało tam wiele osób z naszej rodziny, my też jeździliśmy, ja pamiętam często jeździłem do Krasowa i bardzo się tam dobrze czułem.

Po odbyciu I gimnazjalnej we Lwowie przenieśliśmy się do gimnazjum i liceum do Jaworowa. To znaczy przenieśliśmy się wszyscy razem - dwie siostry i ja, dlatego, że ojciec miał tam okazję wynająć dla nas dobrą stancję. Było to jedyne gimnazjum w Jaworowie, ale stare, dobre i z doskonałą kadrą. Ja byłem w klasie o rok wyżej od mojej siostry bliźniaczki, bo ona poszła później do szkoły, niż ja. A moja starsza siostra chodziła do klasy o parę lat wyżej ode mnie. Gdy ja chodziłem do III gimnazjalnej, to ona już robiła maturę.

Jak powiedziałem, gimnazjum było przede mną zdaniem. Poziom nauki i dyscypliny był moim zdaniem znakomicie lepiej postawiony, niż we Lwowie na Walec Batorego. Ja np. ze Lwowa nie pamiętam żadnego profesora. Ci z Jaworowa zasługiwali sobie

w pełni na to, miano. Mieli ogromną wiedzę i moim zdaniem udaną metody postępowania i wychowywania. Do dzisiaj nie tylko pamiętam mego profesora od łaciny - nie miałem z nią nic do czytania od czasów gimnazjum, ale jeżeli cokolwiek wiem z łaciny to jest to wyłączną zasługą profesora Tuleji. Był to bardzo dystryngowany pan, który wyglądał jak wzorcowy przykład dyplomaty. Bardzo surowy pan, szalenie wymagający, dobrze uczący. Mieliśmy doskonałego profesora matematyki, który na dobrą sprawę na tyle nas zachęcił do matematyki, każdy wybierając specjalizację do małej matury, chciał pojeść na ten kierunek. Tak byliśmy przygotowani przez niego z matematyki.

W czasie nauki w Jaworowie mieszkałem na stacji u pewnego Polaka, natomiast przy tej samej ulicy mieszkały obie moje siostry. Powiedziałbym, że moje początki w tej szkole były różne. Nieszczęśliwie chwalebne w pierwszym okresie dla mnie. To się tłumaczyło tym, że ja nigdy nie miałem specjalnego upodobania, żeby czas spędzać przy książce. Wolałem różne zabawy, ale z kolei jak już musiałem, to musiałem. W bursię to były ostre rygory, tam się po prostu musiało robić, niezależnie od moich różnych wyzynań zmierzających do tego, aby mnie stamtąd usunęto za moje zachowanie. Byłem tam chyba tylko ze względu na pozycję mojego wujka, bo miałem tam historie, które rzeczywiście były karygodne. W tej burcie cały dzień zaczynał się od wspólnej modlitwy w kaplicy. Była to duża sala, w której stały liczne biurka, bo tej młodzieży tam było dosyć dużo. Była to zróżnicowana wiekowo młodzież, poczynając od takich jak ja, a na abiturientach kończąc, którzy byli już przed maturą. Zawsze to odbywało się na tej dużej sali. Stało się twarzą do katedry i krzyża. Pamiętam, że kupiłem za grosze takiego Żyda-zabawkę, który kiwał się i tak się modlił. Ja wyciągnąłem tego Żyda



kiedy modlitwa się już zaczęła, a siedziałem w pierwszej ławce, a więc dobrze pod okiem tego prefekta, który nas pilnował. I myśmy się modlili, a przez całą modlitwę Żyd się kiwał. Dostałem później za to straszne lanie, z groźbami licznymi. Mój stosunek do nauki był więc taki niezbyt gorliwy. Wydaje mi się jednak, że było to dosyć normalne, bo tych, którzy specjalnie się przykładali i kochali naukę, takich kujonów - było mało. I byli zresztą najczęściej wytykani palcami. No i ja przyzwyczajony we Lwowie, że ta nauka przychodziła mi dosyć łatwo, przyjechałem do Jaworowa, gdzie rygory były znacznie surowsze i poziom był wyższy - to ja nagle zacząłem się plasować w dolnych ogniwach klasy! Jak pamiętam - na pierwszej wykładance dostałem parę dwoj. A niełem bardzo surowego ojca. Ojca, którego szalenie kochałem, kochałem ojca bardziej, niż matkę. Ale to była taka dziwna miłość, pomieszana między trochę obawą i szacunkiem. Był to dla mnie człowiek z kolosalnym autorytetem i poza tym człowiek, z którym czułem silną więź. I ten ojciec, jak przyjechałem do domu, to owszem, przywitał się ze mną, ale nie odzywał się do mnie prawie przez cały mój pobyt. A później przed wyjazdem wyciął dwie gałązki z bzu, otaczającego dom w Jazowie (a ja już miałem swoje lata, byłem przecież w gimnazjum!) i powiedział - kładź się! Tam mama w lament oczywiście wpadała. Ale ojciec zrobił, co trzeba, o co nie miałem zresztą do niego pretensji. I to było pierwsze starcie w związku z moimi ocenami i nauką. Ale niewiele ono dało, bo w drugim okresie miałem nadal jedno dwoje. Już byłem za stary, aby mnie łac jakas trzcina. Pamiętam, że ojciec przyjechał z walizką na stację, na której mieszkałem. Zawołał mnie i mówi - słuchaj, ponieważ nasze rozmowy nie dają rezultatów, efekty są żadne, może więc rzeczy-

wiście niedobrze się stało, zasmy cię do szkół posłali. Dla ciebie jedyne wyjście. to pasek krowy. W związku z tym przywiózłem ci tutaj ubranie, bo nie chcesz przecież hanbic mundur gimnazjalnego. Masz przebić się. Były tam takie porcieta, jak na obrazach Chełmskiego. Ja wpadłem w dziki popłoch, zacząłem prosić ojca, przeproszać za wszystko. I rzeczywiście przeblagałem ojca i powiedział - pamiętaj, to jest nasza ostatnia rozmowa na ten temat ! I rzeczywiście była to ostatnia rozmowa. Nigdy więcej mi się nie zdarzyło zbierać żadnych uwag na temat mojej nauki. Poza tym człowiek miał już pewne ambicje. Człowiek dorastał, a poza tym było to gimnazjum koadukacyjne, a koleżanki były owszem bardzo sympatyczne i ładne. Zawsze też już chciało się robić na nich jakies wrażenie. Tak więc klasę trzecią gimnazjalną kończyłem już jako jeden z lepszych uczniów. Muszę powiedzieć, że ta klasa wiele mnie nauczyła. Ja uczyłem się języka niemieckiego w szkole. I to, czego się nauczyłem w zakresie tego języka - pamiętam do dzisiaj. Pamiętam dzisiaj całe niektóre lekcje tak, jakbym dopiero wyszedł z klasy. W sytuacji wymuszonej posługuję się zupełnie dobrze tym językiem, aczkolwiek uważam, że go nie znam.

Po tej klasie III gimnazjalnej w Jaworowie nastal rok 1939. Pamiętam jeszcze piękne wakacje, byliśmy wtedy w Jazowie, było u nas dużo gości, przyjeżdżał wtedy wuj Moszoro. Wzbudzał ogromne na wsi zainteresowanie samochodem, którym przyjeżdżał, bo stanowiło to wielką rzadkość w owych czasach.

Do szkoły już oczywiście nie wróciliśmy, wybuchła wojna. Myśmy sobie w ogóle nie zdawali sprawy z tego, co to jest ta wojna, na czym ta wojna polega. Latające samoloty stanowiły dla nas np. wielką atrakcję, przyglądaliśmy się im. Natomiast nawet jak gdzieś tam bomby spadły, to nie miał człowiek

bezpośredniego z tym kontaktem, nie widział skutków. W momencie wybuchu wojny byłem jeszcze w Jazowie. Krótko samoloty zaczęły bombardować Lwów, ale na razie znaleźliśmy to tylko z radia, z opisek.

Później był problem, co będzie dalej, o szkole oczywiście nie było mowy. I ja wyjechałem do Lwowa i zamieszkałem u wujka Hozzoro. Byłem tam przez jakiś czas i wróciłem z powrotem do Jazowa, kiedy było słychać, że Niemcy już są blisko. U nas w szkole (mieszkałismy w budynku szkoły), jako że był to najbardziej okazały budynek we wsi - zawsze był jakiś sztab. Z początku były to nasze wojska polskie. Jak pamiętam - jakiś ulani, bo jak pamiętam, mieliśmy duży ogród otoczony żywopłotem. Wszystkie w nim miejsca były zajęte przez konie, palno wojska. Później to wojsko odchodziło, a przychodziła kolejna jednostka i tak się to stale zmieniało. Dla nas to były przycią, przyciągody. Myśmy się tym nawet bawili, bo to były strakoje, konie, armaty, i tak dalej. Pewnego razu na spienianym koniu przyjechał posłaniec i cała jednostka szybko się ewakuowała. Zostawili nas w przekonaniu, bo taka fama poszła, że Niemcy są tuż, tuż i lada chwila wejdą. I rzeczywiście, nie upłynęło wiele czasu i pokazały się motocykle niemieckie. A potem cała masa wojska niemieckiego. Cała wieś była zajęta przez to wojsko. Oczywiście znowu sztab jednostki ulokował się u nas w szkole. Pamiętam z tego okresu, zresztą zostało mi to na cały Kazachstan, że byli oni niezwykle kulturalni. Sposób odnoszenia się Niemców do nas nie budził żadnych obiekcji, żadnych zastrzeżeń. Były to grzeczne, kulturalne spotkania i rozmowy. Miałem tego - nas, młodszą generację, częstowano z kuchni polowej, czekoladkami, ciastami, cukierkami. Obserwowałem ich wyposażenie - ich wojska były bardzo zmotoryzowane w porównaniu z naszymi.

Wszystko na motocyklach, samochodach, amfibiach. Oni pokazywali nam wszystko, objasniali, do czego to jest, do czego tamto. Mysmy sie poslugiwali ta nasza ulomna wiedza jezykowa ze szkoly ale dosyc dobrze, jak na owe czasy sobie radzilismy z tym. Pozwalalo mi to na kontakty z tymi Niemcami. Nie zauwazylem ani jednego przypadku, aby Niemcy byli niegrzeczni. I dlatego pozniej juz, jak bylem w Kazachstanie i wybuchl konflikt rodzicko-niemiecki i radio mowilo o zbrodniach niemieckich, to musze powiedziec, ze mysmy nie bardzo w to wszystko wierzyli. Zupelnie inny byl obraz, wizerunek tych Niemcow, ktrych myamy na własne oczy widzieli i mieliemy z nimi kontakt w tym czasie. To sie oczywiscie wyjasnilo, ze to byli zupelnie inni Niemcy, to byli zolnierze Wehrmachtu, gestapo jeszcze wtedy tam nie wchodzilo.

Zanim przyszli Niemcy do Jazowa ojciec, ktory staral sie przed nimi kryc - wyjechal furmanka, zaopatrzony w zywnosc, w kierunku wschodnia, w kierunku Isoniczewek, tam, gdzie mieszkala nasza rodzina. Tak wiec ojciec sie ukrywal. Wtedy wlasnie po raz ostatni w zyciu widzialem swojego ojca.

Ja pozniej wyjechalem do Lwowa, z tym, ze we Lwowie jeszcze nie bylo Niemcow. W ogole zreszta we Lwowie nie bylo Niemcow, tak jak ja pamietam, to oni weszli tylko na przedmiesczie. Bedac we Lwowie widzialem na własne oczy bombardowanie Lwowa. Widzialem np. bombardowanie dworca glownego. Jak czlowiek uleyshal, ze gdzieś cos sie dzieje, to mysmy tam biegali, wchodzili, zeby to zobaczyc. Jak juz bylem we Lwowie dowiedzialem sie, ze moj tata, ktory wyjechal na wschod - musial z kolei stamtad uciekac i kryc sie, bo nastapilo 17 wrzeania wejscia Rosjan. Wtedy ojciec uciekl do swego rodzónego brata do Mielca. Dostalismy tylko od niego jakas kartka.



A ja przez jakiś czas jeździłem za Lwowa do Jazowa, który już później, po 17 IX został przejęty przez Rosjan, a więc mogłem się poruszać już nie przechodząc przez granice, tylko w tym samym obozisku. I tak na zmianę - trochę siedziałem we Lwowie, potem siedziałem w Jazowie i znowu wracałem do Lwowa. Tak to trwało przez okres chyba zimy.

Wies Jazow była to ukraińska, bogata wieś. Było też trochę biedoty wiejskiej i było też sporo takiego polproletariatu żydowskiego. I ta właśnie część ludności z największą nadzieją, z największym zaufaniem ta część ludności witała Rosjan. Pamiętam, że nawet Żydzi nosili czerwone kokardki na ubraniu, witali Ruskich. Nastąpiła taka symbioza między nimi a wkraczającymi Rosjanami. Rosjanie z jednej strony odnosili się z rezerwą, a z drugiej starali się uchodzić za wyzwolicieli od Niemców. Takie stanowisko zajmowali, wobec Polaków. Jakichś takich represyjnych zachowań ze strony Rosjan z początku się zupełnie nie zauważało. Przynajmniej myśmy tego nie odbierali. Aż byłem nawet zdziwiony reakcją mojego taty, który tak uciekał aby nie dostać się w ręce Rosjan. Wysłalam sobie - przecież oni wcale nie są tacy straszni. Tak że nie było wówczas z naszej strony jakichś obaw. Było oczywiście dużo śmiechu z tych Rosjan, bo oni przecież nie mieli bezpośredniego kontaktu z różnymi dobrami kulturowymi, cywilizacyjnymi, a więc i ich zachowania były dziwne. Nie wiedzieli oni, do czego służy wiele przedmiotów. We Lwowie wszyscy się śmieli, że w operze lwowskiej zasiadają w łozach Rosjanki w nocnych koszulach, które im się wydawały sukniami balowymi. Dużo śmiechu z tych Rosjan było, dużo krążyło dowcipów. Bardziej miało się pełen politowania do nich stosunek, jak jakichś obaw.

Ale potem przyszła wiosna, jeszcze było zimno, ja nadal jeździłam między Lwowem a Jazowem.

Stosunek ludności ukraińskiej do nas był w tej wsi Jazow moim zdaniem dobry. Ja mam wrażenie, że wiozła się to z dwiema sprawami. Przede wszystkim stosunki między moją rodziną a rodziną proboszcza greko-katolickiego, który nazywał się Zaruba - były bardzo dobre. Myśmy nawzajem odwiedzali się w domach, itd. A po drugie dlatego, że nie mając w pobliżu kościoła katolickiego - myśmy w niedziele chodzili na mszę do cerkwi w wsi. Byliśmy więc traktowani jako swoi. Dlatego chyba nie mieliśmy żadnych kłopotów. Ja pamiętam taki fakt. Gdy jeszcze Niemcy byli w Jazowie i ja byłam gdzieś na wsi - nagle wybuchła jakaś straszna strzelanina. Nie wiedziałam zupełnie, o co chodzi. I wtedy właśnie jakaś Ukrainka wciągnęła mnie do chaty i wsadziła mnie do ~~tej~~ beczki, żeby schować mnie przed patrolami niemieckimi, które na motocyklach jeździły wiejską drogą. Był to więc gest życzliwości, przyjaźni. Myśmy nie mieli żadnych odczuć negatywnych, jeżeli chodzi o stosunki z Ukraińcami.

Wtedy, kiedy przyszli Rosjanie, to oni się zorganizowali, tzn. ci, którzy nosili czerwone kokardki. Powstał jakiś Komitet Biedoty, czy coś takiego. I on zaczął w tej wsi rządzić. Z nimi mieli głównie kontakty przedstawiciele jednostek wojska radzieckiego. Do nas, jak powiedziałam - z wielką rezerwą. Ale grzecznie, bez żadnych napastliwych, napaści. Myśmy mieli bardzo ładnie urządzone mieszkanie i ~~na~~ pewno nie jeden z żołnierzy radzieckich chętnie by z tego dobra skorzystał. Ale nie, zadun sobie na to nie pozwolił.

Ale pamiętam, że myśmy mieli wiele pretencji przede wszystkim do niektórych Żydów. Nie byli to zamożni Żydzi, ale

tacy pol-lumpenproletariusze. Myśmy mieli do nich liczne pretensje o te właśnie kokardki, o to, że się tak, zjednoczyli, że od razu zadawali się z Rosjanami. Oni byli wówczas ta najważniejsza część społeczności.

Mamą była w Jazowie z siostrą, moją ~~rowiesniczką~~, Iwonka. Żyła tam i nadal pracowała w szkole, która działała w języku ukraińskim. We wsi tej mieliśmy znajomych, którzy nazywali się państwo Klepaczowie, Myśmy nie wiedzieli, czy oni są Polakami czy Ukraińcami. Wydawało się, że oni są Polakami raczej, ale doskonale umieli posługiwać się ukraińskim. Byli też tak życzliwi przez Ukraińców traktowani, że wydawało się nam czasami, że są oni Ukraińcami. Byli oni dla nas bardzo życzliwi, on był zawiadowcą stacji kolejowej. On miał syna, mego rowiesnika, z którym często się na tej stacji bawiliśmy. Pamiętam, że jak jeszcze byliśmy młodzi, to on nam dawał taką drewnianą z ręcznym napędem, którą jeździliśmy. Ja zawsze, jak przyjeżdżałem do Jazowa, to wychodziłem na stację, szedłem do nich i witałem się. Później szedłem najczęściej piechotą do domu.

Pewnego razu przyjechałem ze Lwowa, przywitałem się z nimi i chciałem iść do domu. Ale zobaczyłem w ich postępowaniu coś nienaturalnego, chcieli zatrzymać mnie za wszelką cenę, abym nie szedł. Chcieli, abym jeszcze został, wyglądało to tak, jak gdyby chcieli mi coś powiedzieć, ale nie mówili. I wreszcie zorientowałem się, że coś jest tutaj niewyrażonego i pytam - co się stało? I oni wreszcie mówią - nie ~~idź~~ idź do domu, bo nie tam już nikogo. Mama i siostra zostały wywiezione. Wywiezione zostały w bydłocych wagonach, które zostały podstawione na stację. Natomiast w domu już ~~nie~~ nie ma, bo wszystko zostało rozgrabione. Mówią, że poza tym byłoby niedobrze, gdyby mnie tam zobaczyli, bo mogliby mnie złapać i też wywieźć.

Nie wiedziałem w tej sytuacji, co mam robić. Wiadomość ta uderzyła mnie mocno i zacząłem się zastanawiać, jak mam postąpić. Miałem takiego serdecznego koleżkę, <sup>Julian Włofkiewicz</sup> który mieszkał w Szkli. Dotarłem do niego i powiedziałem co się stało i że mam zamiar szukać tego transportu, muszę odnaleźć matkę i wtedy będziemy się zastanawiać, co dalej zrobić. Zaproponował mi, że pojedzie razem ze mną. Pojechaliśmy razem do Lwowa i zaczęliśmy szukać tego transportu po wszystkich stacjach lwowskich, których jest tam sporo. Tych transportów było co niemiara, masa, wszystkie stacje i podstacje były nimi zapchane. Były to byłe wagony, w których byli ci ludzie pozamykani. Słychać było z nich jęki, płacze, krzyki. Wszystko to było strzeżone, nie można się było dostać w pobliże takiego transportu, bo stał krasnoarmiejec z karabinem i krzyczał "stój, strielat budu !" A trzeba było dojechać do transportu, zapytać się, skąd transport, skąd ludzie, czy nie ma tu przypadkiem ludzi z okolic Jazow-Jaworow. Zależy wpasć na trop właściwego zestawu. Nie było na to żadnej możliwości z uwagi na pilnujących żołnierzy. Podzieliliśmy się więc rolami, że on będzie na siebie zwracał uwagę, aby wartownik nie widział, co ja będę w tym czasie robił. Po wielu takich podjazdach na szeregu stacjach - w pewnym miejscu udało się nam złapać kontakt z pociągiem jaworowskim. Z eszelonem z Jaworowa, bo tak się to nazywało. Kolega zajął werownika, a ja w tym czasie podbiegłem do pociągu z innej strony. Tam zatrzymał mnie drugi bojec z pytaniem, co ja tu robię, czego szukam. Ja powiedziałem, że ja chcę koniecznie do matki, że w tym transportie jest moja matka. Jak się domagałem, to mnie postawił przed dowódcą tego pociągu, który zaczął mnie o wszystko szczegółowo wypytywać, a skąd, jak, jak się tu dostałem, itd.



Miał jakieś listy przed sobą, powiedział - ty się na przód zastanow dobrze. Bo odwiedzin tutaj nie ma ! Co ty chcesz ? Wtedy ja odpowiedziałem, że chce jechać razem z matką, żeby matka sama nie wyjeżdżała. On ~~na~~ - ja bym ci nie radził ! Ja ciebie tu na listy nie mam i ty nie musisz jechać ! Ja go jednak poprosiłem, aby mnie dopisał, bo chce pojechać razem. Nie może przecież tak być, że matkę wywożą, a ja zostaje sam.

Jak on się upewnił, że jestem zdecydowany, mówi - no, chętnie, no żeby ty nie żalił ! Zawołał ojca, kazał otworzyć wagon i nastąpiło spotkanie z matką. Matka prosiła, żebym wracał z powrotem, żebym nie jechał z nimi. Ale przekonałem mamę i pojechaliśmy już we trojkę - matka, siostra Iwona i ja.

W podróży nie posługiwaliśmy się żadnym zegarkiem czy kalendarzem, więc po pewnym czasie straciliśmy całkowicie poczucie czasu. Wiezli nas w wagonach, które były szczelnie zamknięte. Drzwi były zaryglowane, nie było widać. W wagonie po dwóch stronach były porobione z desek nary, środek był wolny. W lewej stronie była w podłodze wycięta dziura, która służyła jako ubikacja. Z nami jechali nasi bliscy znajomi, którzy mieszkali w miejscowości Szkoło-Skarżysko. On był leśnikiem. Tym pociągiem jechała też jego żona i matka.

Wieziono nas **do** długo, nie wiedząc, w jakim kierunku nas wiozą. Wypuszczano jedynie po kilka osób z wagonu, aby zapatrzyły się w ~~okienkach~~ żywność. Jeżeli chodzi o żywność, to właściwie sporo żywności każdy miał jeszcze z domu. Ten zawiadowca **st**acji opowiedział mi, jak wyglądał moment wywozki mojej rodziny. Przyszli i kazali wziąć najpotrzebniejsze rzeczy. Zapowiedzieli, że pozostawione na miejscu rzeczy zostaną z powrotem oddane. Zwracali głównie uwagę na to, że jeżeli jest żywność, to żeby ją zabrać. Maksymalnie dużo żywności.

Matka sporo tej zynności wzięła. Z rzeczy innych wzięła niewiele, jakieś futro ojca, trochę odzieży własnej i siostry. Mojej nie zabierała, bo nie wiedziała, że ja też pojedę. Ojca odzieży, poza futrem też nie zabierała. Bardzo się zresztą ono przydało i mi życie kiedyś uratowało w Kazachstanie. Trochę więc jedzenia mieliśmy, a na stacjach najczęściej się korzystało z "kipiatoku". Braliśmy więc tę gorącą wodę do picia mieliśmy trochę herbaty. Najczęściej z jedzenia dawali niestety tzw. "sielionkę", czyli śledzie. Były to śledzie solone, nie-dobre. Mysmy to praktycznie wyrzucali, tego nikt nie jadł, z obrzydzeniem się na to patrzyło. <sup>Porucznik</sup> ~~Tam~~ były małe dzieci, więc ~~ludzie~~ prosz<sup>o</sup> mleko, ale odpowiadali, że nie ma. Tam jeszcze głodu zupełnie nie odczuliśmy, dlatego, że każdy miał jeszcze jakieś wiktualy, które wziął z sobą. Jeżeli już ktoś nie miał, to ludzie się dzielili. Tak więc w czasie podróży głodu nie odczuwaliśmy. Natomiast odczuwaliśmy zimno. Z tym, że na całej szczęście mama zabrała pociel, kołdry, więc leżeliśmy przykryci cały czas na narach. Był to już okres chłodny, bo jak rozstawiali drzwi wagonu, w którym było ciepło i wychodziliśmy po zynność, to pamiętam, żeśmy się trzęsali z zimna.

Jachaliśmy dniami i nocami, czasami też stało się dniami i nocami. Straciłem całkowicie poczucie czasu i przestrzeni. Nie wiedziałem, co się dzieje, w którym miejscu jestem na świecie. Po upływie moim zdaniem paru tygodni znaleźliśmy się na stacji kolejowej, na której nam powiedziano, że tu będziemy wysiadać. Polecili nam wszystko zabierać, bo pociąg wraca z powrotem, a wy tu zostajecie.

Wysiadając, zauważyliśmy sznur ciężarówek stojących przed <sup>Stacją</sup> ~~stacją~~. Była to stacja Aktiubinsk. Gdy zaczęliśmy wysiadać powiedziano nam, że na każda z tych dużych ciężarówek ma

wsiadac po dwie rodziny. Zwrocilismy sie do nich - dlaczego po dwie, nas jast cztery rodziny, chcielibysmy byc razem. Niet, nielzia, nie palagajetsia. I tak nas wszystkich, ktorzy jechali razem, rozrzucili. Rozloko ali nas w roznych samochodach, potracilismy wiec ze soba kontakt. Zaczeli nas rozwozic tymi ciezarówkami w ten sposob, ze kazda jechalo w inna strone swiata. Z bolam zegnalismy sie z tymi ludzmi, z ktorymi sa-  
dzilismy, ze razem bedziemy zyli, ze bedzie nam razem lzej, przyjemniej. Jak wiezli nas ta ciezarówka, to pierwsze wrazenie to byl calkowicie goly step. Byla to centralna czesc Kazachstanu. Charakteryzuje sie ona bardzo rowninnym terenem, bez zadnych pagorkow, bez zadnego zalesienia, zadzrewienia. Jak sie jechalo przez ten step, to wlasciwie czlowiek nie widzial zywej duszy. Od czasu do czasu widzialo sie jedynie wielblada, czy jakiegos byka. Ale zadnych osiedli ludzkich. Widac bylo tylko gdzie-  
niegdzie tylko widac bylo ciemne kopczyki, ale nie wiedzieliemy co to jast. Dopiero jak nas pod taki kopczyk podwiazli i kazali wysiadac, to my sie zorientowali, ze sa to w glebi stepu jurty kazachskie. Takich jurt bylo trzy, gora piec. Przywieziono nas tam jakies piec, czy szesc polekich rodzin. Powiazali nam, ze tu bedziemy mieszkać. Potem sie okazalo, ze w glebi bylo jeszcze kilkanascie budynkow, byly to jakies takie lepianki zrobione z gliny, z malymi okienkami, dykta zaslonietymi. I to sie nazywalo (mysmy pierwszy raz zetkneli sie z ta nazwa) - sowchoz. Dyl to rzeczywiscie Magadżanowskij Sowchoz, Noworo-  
sijskiego Rajona, Aktiubinokoj Obłasti. Tam nam kazali sie za-  
domowic, przeznaczyli dla nas jedna z tych ziemianek. Nawet nie cala - byla to duzo ziemianka, w ktorej byly perobione takie nary. Czesc tych nar podzielono miedzy rodziny. Bylismy ulokowani pod trosza jak w wagonie, tylko mialismy nieco wiecej

miejsca.

Ludzie z sowchozu zaczęli się orientować, kto przyjechał. Zaczęli nas oglądać - zresztą ciekawość była obopólna. Straszne wrażenie na nas robiło, jak z tych jutt wychodziły takie postaci jak z czasów Dzyngis Chana, albo jeszcze gorzej. Byli ubrani w kozuchy obrocone włosami na wierzch, skośna oczy, długie warkoczki, kobiety z dużymi dziećmi na rękach. Tam jest taki zwyczaj kazachski, że dzieci są karmione piersią do późnego okresu. Dziwne wrażenie na nas to jeszcze robiło, że te Kazachki przypatrywały się nam i co jakiś czas wyjmowały coś dzieckom z głów i schowały do pudełka od zapalek. Nie wiedzieliśmy, co to jest. Później okazało się, że one wyciągały tym dzieciom włosy i później, jak przychodził gospodarz rodziny, ojciec, czy mąż - to siadali razem, wyciągali te włosy z pudełeczka i zagryzali. Myśmy byli zastukowani czymś takim! Co to jest, przecież to jakieś obrzydliwstwo! Ktos z tych Ruskich powiedział, że to jest normalna rzecz u Kazachów - ponieważ wiesz pije krew ludzka, trzeba ją tej krwi pozbawić, odebrać jej tę krew.

Na drugi dzień zaczęto nas już lokować w wyznaczonych miejscach pracy. Zależało to od wieku, od posiadanych umiejętności. Było to na zasadzie - pŁotnik u was jest? - no to budiesz zdāes toże pŁotnik! Nas, taka młodzież jak ja, zagnali do robot pomocniczych. Dla mnie na przykład pierwszą pracą była praca pastucha. Było tam trochę zwierząt pociagowych typu wielbłądy, woly robocze, konie. Normalnie, od rana do wieczora przez dzień cały one ciężko pracowały, pracując na stepie przy różnych uprawach itd. Natomiast w nocy to się wszystko zbierało w stado i wyganiało się w step na pastwisko. Cała noc one się pasły i rano się je przyganiało. Każdy brał należące



do niego zwierzęta. Zaprzęgał do jakiejś maszyny, kosiarki i już był gotów do roboty. Moje pierwsze zadanie w życiu jako pastucha polegało na tym, że ja miałem zebrać to stado, wypędzić je w step ileś tam kilometrów w głąb stepu, dosyć daleko. Pilnowałem przez całą noc stada, nie po to, żeby ktoś nie ukradł, ale żeby się stado nie rozbiegło. Trzeba tak je nadzorować, żeby rano spędzić je bez opóźnienia do posesiolka i żeby można nimi rozpocząć pracę. Dostałem oczywiście, co było dla mnie największą frajdą i atrakcją - konia, więc nie pasalem tego stada per pedes. Człowiek sam chętnie w nocy zmruczyłby oczy i kiedyś mi się zdarzyło, że przysnałem. Kiedy się obudziłem patrze - a wokół mnie nie ma zymaj duszy, nie ma stada !

Wtedy ja zhanarwowany zaczynam po tym stepie uganiać na tym koniu i zbierać pojedyncze sztuki. Ale pozbiarałem gdzieś z połowę tego stada. Wtedy jak przynależało połowę tego stada do posesiolka - wybuchła straszna **aw**antura, bo nie mogli ruszyć do roboty. Pierwszy raz wtedy uznano mnie za sabotażystę. Powiedzieli, że jeżeli się to zdarzy jeszcze raz, pojde pod sąd.

Później mi to stado postanowiono jednak odebrać, nie wiem, czy byłem za mały i postanowili postawić tam kogoś bardziej dojrzałego, jakiegoś Kazacha. Mnie wtedy kazano wozic wodę. Kazachstan, a zwłaszcza część centralna jest całkowicie wyżyta wody. Zdarzały się od czasu do czasu takie pasma, jak **U**by rzeki. Później jednak okazało się, że w pewnym miejscu to pasmo się zaczyna i w pewnym się kończy. A więc nie była to żadna rzeka, ale jakby połączone w taki nurt rzeczny jezioro.

Z przepiękna, czysta woda, bardzo głębokie i ze straszliwą ilością ryb i ptactwa wodnego. Na nie nikt nigdy nie polował, żyły więc one w doskonałych naturalnych warunkach.

Stamtąd właśnie brało się wodę. Ja dostałem taki duży beczkowiec

to była arba, to był taki woz na potwornie dużych kołach. Między tymi kołami była położona wielka beczka. Musiałem wlewać w jej czelusc wodę. Było to wysoko, i aby wleć odpowiednią ilość wody do tej beczki człowiek musiał się bardzo nahańrować. Ponad siły, jakie przypadają wówczas na mój wiek. Ale po pewnym czasie doszedłem do pewnej wprawy i jakos sobie z tym radziłem. Nalewalem więc tę wodę, wiozłem w step i wiozłem do brygad traktorowych na stepie. A ponieważ brygady po skończeniu pracy przenosiły się dalej, więc te miejsca dowożenia wody zawsze się wydłużało. Trzeba było więc jechać kilometrami, wylewać tę wodę, wrócić z powrotem, nabierać i znowu przywieźć. Woda była potrzebna, bo w okresie letnim w Kazachstanie są temperatury rzędu pięćdziesięciu paru stopni gorąca. Była ona niezbędna przede wszystkim dla tych maszyn, traktorów i dla bydła pociagowego, które cały czas pracowało. Tak więc przez cały bity dzień wozilem tę wodę - tam i z powrotem, tam i z powrotem! Ja najbardziej lubilem dowozić wodę do brygad traktorowych, ponieważ interesowały mnie traktory jako takie, maszyny. I jak przywoziłem tę wodę i wlełem ją do stojących tam beczek to często siadałem na traktor i traktorzysta objaśniał mi poszczególne elementy. Po wielu takich lasejkach zacząłem się nieszło orientować. Po jakimś czasie, w dowód wielkiego zaufania dla takiego woziwody jak ja - dostawałem kierownicę do ręki. To było dla mnie największą przyjemnością. Dla traktorzysty zresztą też, bo on zasiadał, szedł gdzieś na bok, kładł się, przykrywał aby słońce go nie paliło i drzemał.

Praca, którą wykonywałem była bardzo ciężka, ale czasami dawała również pewną przyjemność. Ale była to praca, która narażała również na różne nieprzyjemności.

W Kazachstanie, jak powiedziałem, klimat jest kontynentalny.

Tam rzadkością wielką są opady, w lecie np. normalne deszcze tam się nie zdarzają, zdarzają się straszliwe ulewne i bardzo krótkie deszcze, w postaci burzy z piorunami, woda zaczyna momentalnie płynąć po stepie, ale momentalnie wysycha.

Niezależnie od wody wozilem też czasami przewoziłem do tych stacji traktorowych. Był to okres, kiedy do powozenia dali mi dwa takie młode byczki. Jechałem więc nimi, ale zachowywały się one w zaprzęgu inaczej, aniżeli te stare, oswojone już. I akurat wtedy zdarzył się straszliwy deszcz, z grzmotami, piorunami. Ja wiozłem wtedy mleko. Jak pioruny zaczęły trząskać, te byczki się przestraszyły i poszły w stop. Wyrociliły mi te arby, mleko wylały. Powiedzieli mi wtedy, że jest to prowokacja, sabotaż i tak nie wolno postępować. Ostrzegli mnie, że bym uważał, bo coraz częściej mi się takie wypadki zdarzają. Ale już wtedy niektórzy traktorzyści brali mnie w obronę, bo już się trochę z nimi szylłem, czasem machorki przyniosłem na ich prośbę. Po pracy w takim charakterze przyjechała zima.

Matka i siostra też pracowały, na polu. Matka najczęściej przy zbieraniu kiziaku. Kiziak to był właściwie jedyny rodzaj opalu, bo poza nim paliło się jeszcze tylko suszonymi prętami wikliny. Poza tym była tzw. szyłucha, tj. łuska z prosem, która też się paliła. To były więc trzy rodzaje paliwa. No i węgiel, ale węgiel był zupełnie niedostępny, mimo, że niedaleko była Karaganda, gdzie wydobywano najbardziej kaloryczny węgiel. Matka była więc w grupach zbierających ten kiziak, z którego potem układano pryzmy na zime. Było to szalenie potrzebne, bo był to jedyny ratunek przed zimą, a w tym klimacie temperatury dochodziły do 50-60 stopni poniżej zera.

W zimie pracowaliśmy inaczej. Wyjeżdżaliśmy wtedy na tzw. eniegozadierżanijs. Polegało to na tym, że budowaliśmy w stepie

takie piramidy śnieżne. Chodziło o to, żeby maksymalnie dużo tego śniegu zostało w śniegu, żeby nie był rozwiany i można było trochę tej wilgoci zgromadzić na okres suszy. Śniegu było tam zresztą dużo, opady śnieżne były bogate. Tak więc jak przychodziła wiosna, to z tych jeziorzek tworzyła się regularna, ryśca rzeka. Ale to był stosunkowo krótki okres czasu, kiedy w Kazachstanie wody było dużo i nadmiar. Tak więc pracy nam nie brakowało, nie pozwalano nam spierać czasu w nierobstwie. Raczej nas pedzono do tej pracy. Były normy, które były bardzo ciężkie do wykonania. Z tym że ja nie miałem jakiegoś bliższej orientacji na temat tych norm. Nie wiedziałem, jakiego rodzaju normy były np. w przypadku pracy mojej, a jakiego w przypadku pracy matki, która jak nie pracowała przy zbieraniu tego kiziaku, pracowała np. przy wysypach ziarna, przy suszeniu tego ziarna, itd. Myśmy się orientowali tylko, że w okresie jesienno-zimowym, jak były rozdawane artykuły żywnościowe na tzw. trudowyje dni, to wtedy nam mówiono nam - nie masz tyle normy, co trzeba, masz dużo mniej, w związku z tym dostajesz tyle. Dawali nam najczęściej mąkę, często zboże, które musieliśmy sami zmielić w żarnach na mąkę, olej słonecznikowy, bo było tam masę upraw słonecznika. Zresztą jeden z najlepszych przysmaków, jakie pamiętam do dzisiaj, to był olej słonecznikowy. To się jadło normalnie z chlebem i jeżeli było jeszcze do tego kawałek cebuli - to to była najlepsza uczta. Mięsa nam nie dawali nigdy żadnego, masła - żadnego, tłuszczów żadnych. Czasami, głównie przy okazjach świąt, była możliwość dostania "prżanikow" - takie pierniczki. I raz na pół roku można było dostać ich garść, czy dwie garści. Natomiast myśmy prowadzili życie, które nas wiązało z ludnością tamtejszą. Z Kazachami były żywe kontakty, często typu handlowego. Dla Kazachów najważniejszą potrawą to była barenina, którą się nazywała



"biszmermani". Natomiast największym, jakby rytualnym obyczajem było picie herbaty. Czaj - to było dla nich wręcz coś świętego. Kazach bez czaju w ogóle się nie obywat. Tak że jeżeli ktoś z nas miał, a jeszcze z początku mieliśmy jeszcze z kraju trochę tej herbaty - to od Kazacha można było za herbatę dostać coś co było nam bardziej potrzebne niż herbatą, której w związku z tym nie piliśmy, przeznaczając ją na handel. Można było w ten sposób kupić coś z artykułów mięsnych. Poza tym doskonałym, obfitym bardzo dostawcą mięsa na odczyn był step. Poczynając od zbiorników wodnych, na których były ogromne stada ptactwa dzikiego i ryb. To było dość daleko, ale jeżeli się już jechało, to się z pustymi rękami stamtąd nie wracało. Oczywiście człowiek nie miał czym polować. To były różne sposoby na to. Wieszano się pamiętam, tak osmiornice ze sznurów, które były związane w centralnym punkcie, z którego wychodziły. Na końcu każdego sznurka był ciężarek, najczęściej uwiązany kawałek kamienia. To się rozkręcało i rzucało się w stado. W tym stadzie zawsze jedna, dwie sztuki w tym się zamotały, reszta oczywiście uciekły, ale coś się tam łapało. Wystarczyło czasem wiadro zanurzyć w wodzie, żeby od razu wyjąć w tym wiadrze parę ryb, do tego stopnia! Ale to było tylko w niektórych miejscach, tam gdzieśmy byli, nie mieliśmy możliwości dotarcia do miejsc, gdzie były te zbiorniki wody. To był ten dodatek do normalnego wyżywienia. Poza tym step jest bogaty w mięso dlatego, że w stepie żyją susły. Są tam stada całej tych susłów. Były potężne, wielkie susły, ale i mniejsze. Te susły się bardzo prosto łowiło. One się kryły w norach oczywiście, ale trzeba było mieć wodę, wiadro wody wlewano się do nory i trzymało się przy niej ręką. Jak on wyskakiwał - to się go chwyciło.

Sparo Polaków przepadało za tym mięsem suszonym, bo jest ono bardzo delikatne. Ja się np. tego mięsa szalenie brzydziłem, do ust tego mięsa nie brałem, nawet w czasie największego głodu nie wzięłem susła do ust. Zawsze mi się wydawało tak, jakby jadł szczura. Natomiast byli Polacy, którzy przekonywali mnie, że nie ma lepszego mięsa od tego. Były różne upodobania.

Tak że były okresy, kiedy byliśmy bardzo głodni i były okresy, kiedyśmy byli syty zupełnie. Choćby to jedzenie zupełnie nie europejskie, zupełnie nie nasze polskie, ale kazachskie, albo takie przypadkowe. W każdym razie człowiek miał tego na tyle, że nie chodził głodny. Przy czym, jeżeli chodzi o pieczywo, chleb - dostawaliśmy tzw. pajok chlebiany. Była to norma, która nam przyznawano. To była taka pajda chleba - 400 g, pół kilo to było już bardzo dużo, ale na ogół było mniej. To była porcja na cały dzień. Ale, jeżeli już miało się trochę maki, albo trochę ziarna do zmielenia i jak się miało jeszcze kontakty z Kazachami - to się piekło tzw. lepioszki albo chlebki kazachskie. Oni piekli chleb sami, oni takiego chleba naszego nie jadali. Oni jadali głównie pieczony przez siebie. Do takich dwóch "skovorodek", jak oni nazywali, takich patelonek kładło się ciasto, kładło się na żar i na gorę się nagarniało żar. Po jakimś czasie było to upieczone. Bardzo nam to smakowało. Takie coś w rodzaju podplomyki. Tak więc głodu zaczęliśmy doznawać dopiero wtedy, kiedy w całym Związku Radzieckim zaczęła się zmieniać sytuacja, wiązało się to głównie z wybuchem wojny z Niemcami. Wtedy było coraz ciężiej, dlatego, że wszystkie siły wyłącznie na front. Nam mówili - wy mężczyźni nie jeść, nie dojeść, a żołnierz musi jeść. Wy jeżeli będziecie więcej pracować, to będziecie mieli dla siebie i dla żołnierzy. Pracujcie więcej!

Nie patrzono na to, że pracujemy od wschodu do zachodu słońca !  
No, ale wtedy było rzeczywiście coraz ciężziej były kłopoty z chlebem, którego nam już nie dowożono. Prianki to było już tylko wspomnienie, itd.

Poza tym zabierano już coraz więcej do wojska - i Kazachów i Rosjan. Brano wszystkich mających obywatelstwo radzieckie, Zreszta długi czas walczone z nimi, tzn. koniecznie chcieli nam nadać obywatelstwo radzieckie, koniecznie. Zawsze pytali, - kto ty jesteś ? Polak ? Przecież Polski dawno nie ma i nikogda nie będzie ! Ty jesteś obywatel Związku Radzieckiego, podpisz tutaj ! Nawet dosyć tak namolnie starano się wyrzucić prądkę na Polakach, aby podpisywali, podpisywali obywatelstwo radzieckie. Nęcano ich korzyściami, mówiono, że wtedy będzie do nich większe zaufanie, a tak - to ty jesteś wrog, ty jesteś polski pan, a wtedy będziesz nasz członek ! O, na tej zasadzie nie jakimis korzyściami typu materialnego, ale polepszania sytuacji ogólnej.

Z początku stosunek do nas był bardzo wraży, przy czym był wraży głównie ze strony Rosjan. Ze strony Kazachów był stosunek z początku wysoce nieufny. Myśmy byli jakby jakimis wyższymi istotami dla tych Kazachów. Patrzyli na nas trochę przez pryzmat tego, że jest to zupełnie inny świat. Ale później jak zaczęli się przekonywać do Polaków, że Polacy podchodzą do nich bardzo zyczliwie, że jak była kwestia udzielenia im jakiejś pomocy, np. w chorobie - myśmy jeszcze mieli jakieś lekarstwa z domu, których tam w ogóle nie było, to te pomoc oni otrzymywali. Jak się komus coś stało, to szło się z pomocą. Poza tym zaczęliśmy się już posługiwać językiem kazachskim. Ja np. umiałem po kazachsku swobodnie rozmawiać, więc Kazacy, którzy po rysach widzieli, że nie jestem Kazachem mówili -

ty na pewno jesteś Tatarom. Język tatarski jest bardzo podobny do języka kazachskiego.

Już teraz zostało mi niewiele z tego języka. Miałem - moją żonę, ja po rosyjsku rozmawiałem jak rdzenny Rosjanin, nie było żadnej różnicy, i udarzenia, itd. Dzisiaj po upływie lat i utracie kontaktu z językiem rosyjskim oczywiście rozumiem wszystko od a do z, natomiast wypowiadać się, jeżeli muszę nawiązać jakąś rozmowę, to już mi słów brakuje. Kazachski język bardzo szybko opanowałem i bardzo szybko go utraciłem. Bardzo szybko go zapomniałem. Ale kilka słów jeszcze pamiętam.

Ja bardzo życzliwie wspominałem Kazachów. Tym bardziej, że Kazacy mi parę razy życie uratowali. Gdyby nie oni, nie byłbym dzisiaj i nie byłoby naszej rozmowy.

Pierwszy raz było to tak. Z tego Magadzanskiego Sowchozu miałem wyjechać do Noworosyjskiego rejonu dla załatwienia jakichś formalności związanych z naszym pobytom w Kazachstanie. Musiałem coś tam udowodnić. Był to spory kawał - tam mały odcinek, to jest 50 km. Mówiono wtedy, że to jest tuż pod ręką. Odległości liczyło się tam na dziesiątki i setki kilometrów. Tym bardziej, że w takim wyjeździe człowiek posługiwał się koniami, więc taki wyjazd z Kazachem trwał bardzo długo. Było to dodatkowo jeszcze w zimie. Zima tam ma to do siebie, że jest wyjątkowo mroźna, bardzo śnieżna, a najbardziej niebezpieczną rzeczą w czasie zimy to są tzw. buriany, czyli burze śnieżne. Jeżeli taki burien zasłanie w stopie niedoświadczonego człowieka, to jest on skazany na śmierć. Ale wtedy na szczęście nie było żadnej burzy śnieżnej, natomiast był potworny mroz, gdzieś w granicach prawie 50 stopni. Wtedy właśnie to futro mojego taty bardzo mi się przydało, Kazacy chcieli je nawet parę razy ode mnie kupić, ale matka nigdy na to nie



popowolila. Umozala, ze to jest dla mnie, ze mi sie przyda.  
I rzeczywiscie, jechalem w tym futrze zamotany, czapa z lisa  
zrobiona. Taka czapa i futro dobrze ochraniały przed mrozem.  
Ale jedziemy na tych saniach taki straszny szmat drogi, ja sie  
nawet tak dobrze czuje, taka mnie sennosc ogarnia... I w tym  
momencie ten Kazach mowi, raz i drugi, zebym zszedl z tych san  
i poszedl troche pieszo, zebym sie rozgrzal. Ja mowie nie,  
mnie jest ~~dr~~rze - i siedze dalej. On za jakis czas znowu zwraca  
mi uwage, zebym zszedl, ja nie schodze. On juz widzi, ze ja  
drzemie, prawie juz ~~spie~~pie. Jest to moment, w którym najczesciej  
czlowiek zamarza. Przy czym moment zamarzania jest momentem,  
w którym zaczyna sie chciec spac. A wiec tak mi sie zaczyna  
robic przyjemnie, jakies mira~~a~~ze sie przede mna roztacza.  
Wpadam w polsen, a potem w taki glęboki sen. Wtedy, gdy ma sie  
uczucie snu - nie jest zimno. Kiedy siedzialem normalnie, nie  
spiac, czulem zimno. Ale nie chcialo mi sie ruszyc. Jak on  
zobaczyl, ze ja jestem juz na dobrej drodze, zeby zasnac - to  
mnie po prostu brutalnie stracil z tych san. Zacial konie i  
zaczal sie oddalac. Ja oczywiscie wpadlem w panike, zaczalem  
krzyczec. A on nie, tylko zacina te konie i oddala sie coraz  
bardziej. Jeszcze chwila, a strace go zupelnie z pola idzenia!  
Zerwalem sie wiec z tego sniegu i zaczynam biec. Biegna za nim,  
aby jak najszybciej go dopiedzic, a on wcale sie nie zatrzymuje.  
A ja sobie mysle - ale kawal drenia, a ja tak dobrze o tych  
Kazachach myslalem, a on mnie porzuca w golym stepie na pastwa  
wilkow! Biegna dalej, przerazony juz coraz bardziej, robi mi  
sie juz goraco, zaczynam sciagac z siebie futro, zrzucam je  
i biegna juz bez niego! A on sie wtedy zorientowal, ze juz  
jestem rozgrzany. Stanal, a ja wawczas cofnalem sie, wzialem  
to futro i podszedlem do niego. Zaczynam z pretensjami

wielkimi do niego, dlaczego on chciał, abym w stepie zginął, że to takie nieludzkie. A on mi mówi - gdybym tego nie zrobił, to ty już byś nie żył ! Jak nie chciałeś słuchać rozsądnych rad staroż Kazacha, tylko siedziałeś w sennych i zamarzałeś - to nie było na siebie innej rady ! A teraz siedź ! I pojechaliśmy dalej.

Drugi raz Kazach uratował mi życie w następujących okolicznościach. Poszedłem w step i położyłem się, aby się trochę zdrzemnąć. Miałem taką darce z wielbłądziaj wełny, na której się ułożyłem i zasnąłem. Po jakimś czasie nagle się budzę i widzę, że jestem otoczony wianuszkiem żmij stepowych. To były szalaniec jadowite żmije. Ja zamarłem. Nie wiem, co mam robić ! Ruszać się, czy nie, jak - ukusi mnie, czy nie. Całe szczęście że leżałem na tej darce wielbłądziaj, na której te żmije były si wonowicie, one tak dookoła się usadowiły. A po drugie, że zachowywałem się spokojnie, nie rzucałem się, nie atakowałem, nie wykonywałem gwałtownych ruchów. A wiedziałem, że muszę zachować zimną krew, przypomniałem sobie z opowieści Kazacha, jak należy postępować w takiej sytuacji. I rzeczywiście, nic mi te żmije nie zrobiły, chociaż dookoła było ich palno ! Jeszcze dzisiaj, jak o tym pomyślę, to aż mi ciarki przechodzą ! Tak sobie przelażałem na tej darce i dopiero później, jak przejeżdżał jakiś Kazach na koniu, podjechał, zobaczył i porozrzucał te żmije kije. To był drugi przypadek, kiedy dzięki Kazachowi zachowałem życie.

Kiedyś zapadłem na ciężką malarię. Latem tam komarów było sporo, zwłaszcza wtedy, kiedy nie było sucho. Tak sobie myślałem, że się już chyba z tego nie wykażaskam. Mama mi co rusz przynosiła jakieś niby lekarstwa, z tym, że w koncowce już nie mieliśmy chininy i matka pisała błagalne listy do Polaki,

zeby cos przyslali. Po pierwsze nie wiadomo bylo, kiedy te listy dojdą, a po drugie, kiedy przyjdzie paczka. Z reguly paczka wyslana z Polski trafiala do nas po paru miesiacach. Tez byla juz czesto przetrzebiona, ale jeszcze cos zostawalo, np. jakas herbata. W tej chorobie wyratowali mnie Kazacy. Kazali mi pic jakies swinstwa. I ja to pilem rzeczywiscie. A dodatkowo przy tej malarii mialem jeszcze kurza slepote. Same nieszczescia ! To, co kazali mi pic, to bylo paskudztwo, pamietam. Nie wiem, na czym to polegalo, a szkoda, bo to bylo naprawde cos wysmienitego. Gdybym mial dziasiaj taka miksture kazacka - moglbym kazdego wyleczyc. Wstalem na nogi i, co sie nie zdarza, malaria nigdy sie juz u mnie nie powtorzyla.

Kiedys jechalismy na "sniegozadzierzanije". W czasie pracy to jeszcze jako tako, ale potem w czasie drogi powrotnej czlowiek bardzo przemarzal. Czlowiek wracal spocony, a mroz byl tak potworny, w nocy, ze wszystko odmrazal - nos, uszy, nawet powieki. I ja kiedys mialem calkowicie odmrozona cala twarz. Zupelnie - uszy, oczy, nos, policzki - wszystko ! Kazacy powiedzieli, abym zupelnie nie dotykal odmrozonych czesci. Natomiast jak przyjechalismy na miejsce, to zaczeli mnie jakimis swinstwa mi nacierac. To byla tez taka mikstura, w ktorej bylo troche z wilka, troche ze zmi stepowej, troche z barana kazachskiego i tak dalej, i tak dalej. Jak mi posmarowali ta mikstura twarz, to mi to zeszlo tak doskonale, ze do dnia dzisiejszego nie mam zadnych sladow odmrozen. Przeciez ludziom sie to odnawia, jak sie juz ktos raz odmrozil.

Od momentu, kiedy zostaly nawiazane rozmowy miedzy Sikorskim a rza dem radzieckim zaczeto nas lepiej traktowac. Poniewaz zostaly podpisane pewne wspolne ustalenia, wiec Rosjanie zaczeli nas traktowac inaczej, to znaczy zaczeli nam mowic: wy juz nie jesteście naszymi wrogami, jesteście naszymi

przyjaciółmi. Ich traktowanie prawde mówiac w niczym sie nie zmienilo, z tym, ze myśmy stali sie bardziej hardzi, bosmy mieli jak gdyby zaplecze za soba. Czesto nawet sie troche stawialismy.

Ja w tym czasie pracowalem jako oracz na traktorze, ale na okres zimowy wszystkie maszyny byly zabierane do remontu. Jako zainteresowany maszynami zglosilem sie wtedy do tzw. MTS czyli maszyno-traktornej stancii do pracy przy remoncie tych maszyn. Prace te laczone z kursem kierowcy samochodowego, traktorzysty i kombajnisty. Ja wybralem sobie kurs dla kierowcy samochodowego. Pracujac cala zime w tym MTS-ie robilem ten kurs. To wszystko odbywalo sie juz w Aktiubinsku, gdzie zostalem skierowany. Moja matka tez juz wtedy przeniosla sie do Aktiubinska. Byl to juz okres pewnego luzu dla Polakow, wiec takie przemieszczenia byly juz mozliwe. Zamieszkala tam z moja siostra. W tym czasie dotarla tez do nas druga siostra, Nina, ktora byla wywieziona inaczey niz my i w innym okresie. Myśmy jej szukali przez dlugi czas, ona nas szukala rowniez. Ona napisala do rodziny we Lwowie, myśmy napisali tam takze i zostal nawiązany w ten sposob kontakt.

Przyjechala wiec do Aktiubinska i podjela tam prace. Zanim jeszcze poszedlem na kurs samochodowy, pracowalem w takiej bazie w Aktiubinsku, ktora dowozila opal, make itd. do calego zespolu piekarn na terenie Aktiubinska. Spotkalismy sie tam z moim kolegą Rysiem Piotrowskim i poradzono nam sie tam dostac, bo w ten sposob bylo najłatwiej sie wyzywic. Jak czlowiek przychodzil do piekarni, to na ogol zawsze mogl kawalek chleba zjesc. Jak sie wozilo make, to mozna bylo troche jej sobie zatrzymac, co bylo zreszta bardzo niebezpieczne, bo byla to przeciez ewidentna kradziez, ktora byla byla karana, mozna bylo isc doslownie pod sad.



Tam się dostawało sanie i konia i dowozilo się różne rzeczy. Czasami wyjeżdżalo się daleko poza Aktiubinsk i przywożilo siano jako wyżywienie dla koni.

Wtedy jeszcze nie docierały do nas żadne wieści na temat wojska. Jak skończyłem ten kurs szoferski - powstał jakby taki rynek na absolwentów tego kursu. Przyjeżdżali przewodniczący różnych kolchozów i wybierali sobie ludzi do pracy. Było to dla mnie wówczas szalenie ważne, bowiem cały Kazachstan był całkowicie opustoszały z mężczyzn. Był to już okres, kiedy brali na front **wszystkich** już mężczyzn. Polaków jeszcze nie brali, chociaż Polacy bardzo często domagali się, żeby brać ich do wojska. Chcieli jednak iść do swojego wojska, a nie do Armii Czerwonej, co im proponowano. Już były różne głosy na temat powstającego wojska. Jak już zostałem szoferem, to wybrał mnie taki przewodniczący kolchozu i powiedział do mnie tak - pamiętaj, że w moim kolchozie jest dwóch ludzi najważniejszych - pierwszym to jestem ja, jako przewodniczący, a drugim ty, jako kierownik przewodniczącego. Obiecał, że jak będę się starał, to na pewno będzie mi dobrze, ulokuje mnie w dobrym miejscu. Zamieszkałem u rodziny składającej się z matki i dwóch córek. Matka to była żona wojskowego, który był na froncie. Przybyłem do nich zabrudzony, zamszony po tym kursie. Najpierw więc zrobiły mi łaźnie rosyjskie, spaliły wszystkie odzież, jaką miałem a dały mi jakąś nową odzież. Było to bardzo sympatyczne mieszkanie, tym bardziej, że były tam dwie młode dziewczyny, które zresztą bardzo mi się podobały. Jedną była Katia, a druga zdaje się Nadia. Praca tam układała mi się bardzo dobrze. Była to typowa praca kierownika samochodowego, ale człowieka, który jest jedynym kierownikiem w dużym zbiorowisku. Miałem więc wyraźne przywileje.

Tak więc ja mieszkałem w sowchozie, a matka nadal

mieszkała w Aktiubinsku z siostrą Nina. Natomiast siostra Iwonka w tym czasie zapadła w Aktiubinsku na tyfus. Ponieważ nie było absolutnie żadnych lekarstw, ani żadnej opieki lekarskiej - nic nie było, została pozostawiona wyłącznie sile obronnej własnego organizmu. Była jeszcze młoda i wyniszczona pobytem w Kazachstanie, wobec czego nie było żadnych szans na uratowanie jej. Umarła i została tam pochowana.

Ponieważ wówczas pojawiły się pierwsze pogłoski na temat tworzącego się wojska, moim pierwszym odruchem było (mimo, że wówczas byłem jeszcze niepełnoletni, nie miałem jeszcze 18 lat) było zgłosić się. Dowiedziałem się, że w ~~Jankajulu~~ <sup>Fauze jul</sup> w okolicach Taszkentu tworzy się polski oboz wojskowy armii Andersa. Od nas było to jakieś 3 tysiące kilometrów. Wyruszyłem więc do tego obozu. Oczywiście nie było możliwości żadnej w miarę normalnej komunikacji. Jechało się na stopniach jakiegoś pociągu, przeskakując na jadący dalej i tak się podróżowało.

Gdy podjąłem decyzję, przewodniczący kolchozu tłumaczył mi, abym został, ale kategorycznie się nie sprzeciwiał. Tłumaczył, że bym poczekał do wiosny, będzie mi lepiej, po co mam się pchać w taką niepewną porę, na pewno posła cie na front, zabija cie. Ale że nie dawałem się przekonać, więc wyposażyli mnie w taki toboleczek z jedzeniem na drogę.

Przebyłem tę strasznie zmudną drogę do tego Jangijulu i tam okazało się, że jest to już okres likwidowania tego obozu. Pierwsze oddziały zaczęły już przechodzić granicę perską, a tu zostały już tylko resztki tyłów, likwidujące ten oboz. Trafilem właśnie na ten moment. Kazali mi tam iść do łaźni, wykapać się, dali mi umundurowanie, dali mi plecak i masę do niego żywności łącznie z czekoladą. Dali mi to wszystko, ale powiedzieli, abym wracał z powrotem, bo już mnie przyjąć nie mogą. To było lato

1942 r. To był okres letni, bo pamiętam jeszcze przed przyjazdem do Jangijulu byłem w Taszkencie, gdzie są piękne sady. Szedłem bardzo głodny i zobaczyłem piękny sad, w którym chciałem zerwać sobie trochę owoców. Przeskoczyłem murek i wszedłem do sadu, w którym siedziała piękna Uzbeczka. Uzbeczki chodzą zawsze zakwiecone, nie mogą się inaczej pokazać na ulicy. Ona była we własnym domostwie i nie miała oczywiście kwefu. I nagle ja wszedłem i ją zobaczyłem. Ona była przestraszona, ale ja zacząłem coś przyjaźnie do niej mówić, więc też odpowiedziała miłym gestem i poczęstowała mnie jakimś owocem. I w tym momencie rozległ się straszliwy krzyk, a ona mówi do mnie, abym natychmiast uciekał, bo jej ojciec mnie zabije! Według tamtejszych obyczajów jeżeli ojciec dopadnie z kindzalem takiego intruza jak ja, może go zabić, bo naruszył on jakies ich prawa. Więc ja przez ten murek i w nogi! Muszę powiedzieć, że tak uciekałem, jak głupi! A ten przez cały czas mnie gonił. Dobiegłem zadyszany do przejazdu kolejowego, gdzie manewrował pociąg, do którego ja w ruchu wskoczyłem. W ten sposób udało mi się uciec przed rozwścieczonym ojcem, do którego dołączył jeszcze jeden mężczyzna.

Musiałem więc z powrotem wracać z Jangijulu do Aktiubinska. Ale wtedy, kiedy Anders wychodził, część oficerów z Berkingiem, Wasilewska i Związkiem Patriotów Polskich przystąpiła do tworzenia innej armii. Po powrocie miałem już wieści o tej drugiej armii. Radzono mi, abym poczekał trochę, aż się ta druga inicjatywa wykrystalizuje. Byłem w kontakcie z tzw. Wojenkoma-tem, gdzie zaproponowano mi, abym u nich jeździł, a jak się już wyjaśni sprawa wojska, to mnie tam skierują, nawet z zaliczeniem tej pracy w poczet służby wojskowej. I tak się stało.

A siostra moja poszła już do wojska przede mną, był to już 1943 r. Poszła do wojska do jednostki polskiej. Poszedłem za nią, ale tam powiedzieli mi, że jestem niepełnoletni. Zgłosiłem się więc w charakterze ochotnika. Przeszedłem przed komisją poborową polską. Tzn. władze polskie, ale ludzie ruscy. Albo byli polskiego pochodzenia, albo nosił polskie nazwisko, ale faktycznie z polskością nie miał nic wspólnego. Jak się zorientowali, że jestem "gramotnyj czelowiek", bo byłem po ukończeniu trzeciej gimnazjalnej (większość ludzi z jakimś wykształceniem wyszła z armii Andersa), a cały lud został jeszcze rozłokowany po całym Związku Radzieckim, po łagrach i ciągnął do wojska jak te strumyczki z gór) więc postanowili skierować mnie do szkoły oficerskiej. Komisja ta była w Aktiubinsku. Zdaje się, że miałem zgłosić się do szkoły oficerskiej w Buzułuku.

Ale ja w ogóle tam do niej nie dotarłem. Nie chciałem za Doga Wszechmogącego trafić do szkoły oficerskiej! Wojsko było dla mnie wyłącznie pretekstem do tego, aby jak najprędzej dostać się do Polski, do kraju. Wydawało mi się, że jest to jedyna i najkrótsza droga. Ale zrozumiałem, że jeżeli pójdę do tej szkoły oficerskiej, to mnie już przytrzymają w tym wojsku, zostanie zniewolony, że tak powiem, swoimi nowymi dystynkcjami i kwalifikacjami.

Kiedy jechałem już eszelonem do szkoły oficerskiej, to ja na jednej ze stacji po prostu wysiadłem i odszedłem na bok. Ale odszedłem tak na bok, aby zostać, aby doczekać się odjazdu mojego pociągu. Pociągi te bowiem jechały, stawały na chwilę, dalej jechały i tak na zmianę. Kiedy zobaczyłem, że mój pociąg oddala się, zdawałem sobie oczywiście sprawę, na co się narazam jakie jest niebezpieczeństwo. Aby nie posadzono mnie o to, że jestem dezerterskim, postanowiłem podejść do pierwszego pociągu (a na tej stacji było ich wiele). Zgłosiłem się do dowódcy



ze ja jestem z pociagu o takim i takim numerze, ale jako ze moj pociag oszedl, czy ja moge wraz z nimi jechac do nastepnej stacji, aby dogonic moj pociag. On wybadal mnie dosyc szczegolowo, czy to przypadkiem nie jakis wyrodek narodu, ale potem zapytal, czy mam jakis zawod. Odrzeklem wiec, ze moge byc szoferem i pokazalem mu prawo jazdy. On na to, ze bardzo dobrze bo taki jest potrzebny i on mnie zostawia u siebie. To byl oddzial polski, ale cale dowodztwo bylo radzieckie. Caly czas mowiono tam po rosyjsku, tylko chwilami slychac bylo jezyk polski. Powiedzial mi, ze teraz jedziemy w kierunku Zytomierza na przeformowanie, a on mnie wyreklamuje z poprzedniego przydzialu. I tak sie stalo, ja juz z ta jednostka zostalem. Z tej jednostki utworzyl sie jakis 21 zapasowy pulk. Szedlem juz razem z nim w kierunku Polski. W tym czasie dosyc szybko odbywalo sie to przemieszczanie.

Jak przeszliśmy już linie Bugu, to zatrzymaliśmy się w takiej wsi, która nazywała się Różanka. Jednostka ta miała się przeformować i iść na front. W tej jednostce polecono uczyć młodych kierowców w zakresie mechaniki i obsługi samochodu. W czasie przeformowania dostawaliśmy nowoczesny, wspaniały sprzęt, piękne samochody amerykańskie. Często otrzymywałem polecenie, aby w przeciągu np. 10 dni przygotować grupę kierowców. Było to ponad moje siły, bo byli to ludzie zupełnie surowi. Z nimi jechałem w okolice Włodawy po sprzęt i wracaliśmy do tej Rozanki. Największą moją satysfakcją było, że na kilkunastu odebranych samochodach był tylko jeden wypadek, zresztą niegroźny. Dowódca jednostki złożył mi szczególne gratulacje, podziękowanie.

Później skierowali mnie do 8 brygady artylerii ciężkiej. Tam byłem przez cały czas od wybuchu powstania warszawskiego,

kiedy staliśmy zablokowani jak na uwiezi, zamiast iść jej na pomoc musieliśmy patrzeć, jak dogorywała. Później przerzucili nas na Wał Pomorski. Z tą brygadą artylerii ciężkiej byłem aż do końca mojej służby wojskowej. Z Wału Pomorskiego zostaliśmy przerzuceni w okolice Zgorzelca i szliśmy na Budziszyn. Tam była dosyć ostra przeprawa. Tam byli Niemcy w kotle, otoczeni przez Polaków, ci z kolei byli otoczeni przez Niemców, których otaczał wianuszek Rosjan. To był taki typowy "sekacz". A myśmy byli w samym środku. Doszło do sytuacji, że nie mieliśmy już amunicji, poza jednym pociskiem na działo, który służyłby zgodnie z instrukcją do jego zniszczenia. W tej sytuacji przyleciał do nas rosyjski kukuruznik i uzgodniono, że przedrzeć się od nas kolumna samochodów po zaopatrzenie, osłaniana przez radziecką artylerię.

Brałem udział w tej bardzo niebezpiecznej przeprawie wraz ze swym pomocnikiem, którego uczyłem wszystkiego od zera. Droga była atakowana przez Niemców, więc musieliśmy skrecać, jechać bocznymi drogami, po jakichś łakach i torfowiskach, żeby nie dać się trafić. W pewnym momencie pocisk trafił nas i prawie całkowicie wypatroszył mojego pomocnika. Mnie zostawił jedynie ryse na bucie. Zupełnie nic mi się nie stało. Z kilkudziesięciu samochodów transportowych powróciło z amunicją chyba nie więcej jak kilkanaście. Jako wyróżnienie za ten czyn dostałem list pochwalny od samego Josifa Wyszarionowicza Stalina ! Był to taki wydrukowany list z podziękowaniem za pochwałę, z podpisem Stalina.

Później było już coraz łatwiej. Zawsze artyleria ciężka jest parę kilometrów od pierwszych linii frontu. Z tym, że posługuje się ona własnym zwiadem artyleryjskim, który zawsze idzie w pierwszej linii z piechotą. I ja w tym tak zwanym

zwiadzie kierowniczym byłem kierowca.

Dowódca naszej brygady był rosyjski pułkownik. A ponieważ ja dosyć zawadiacko prowadziłem samochód i wychodziłem obronna ręka z różnych groźnych sytuacji, więc on mnie sobie upatrzył i przeniósł mnie do siebie.

Muszę tu jeszcze powiedzieć, że każdy z nas szukał sobie zdobyczy wojennych. Często było tak, że jak wchodziliśmy do jakiegoś miasteczka, to nie było tam żywej dupy, a wszystko w mieszkaniach zostawalo, nawet ciepłe jeszcze garnki. Braliśmy najczęściej zegarki, bo to były dobre rzeczy. Z odzieży było trudno coś brać, ale czasami braliśmy jakąś odzież skórzaną, która wdziewaliśmy na siebie tak, żeby dowódca nie widział, było nam wtedy cieplej. Każdy z nas miał już tych "trofeów" dosyć dużo. I pod Budziszynem, gdy byliśmy w okrazeniu i już nam się wydawało, że nie wyjdziemy żywi - to każdy, ja również, zakopywaliśmy te zdobycze.

Później wylczyliśmy pod Berlinem, ale przerzucili nas następnie pod Wrocław, a następnie pod Pragę, gdzie ja skończyłem mój szlak bojowy. Było to niedaleko Pragi, gdzie był piękny zamek. Do tego zamku pojechałem z kolegą, który bardzo lubił przeszukiwać zabudowania w poszukiwaniu zdobyczy. W tym zamku były przepastne piwnice pełne różnych rzeczy, ale wydawało mi się, że są to same starocie. Trafiliśmy tam na bardzo solidne drzwi zamknięte ogromnymi kłodami. Zawołaliśmy jakiegoś strażnika tego zamczyska, żeby nam otworzył. On powiedział, że nie ma kluczy. Uwiązaliśmy więc u zamków wiązki granatów, a potem strzelaliśmy do nich. Wystrzeliło to zamki i weszliśmy. Okazało się, że tam był kolosalny magazyn, od podłogi do sufitu zawalony jakimiś skrzyniami, dziełami sztuki, obrazami, cudowne meble. A z drugiej strony była piwnica z leżakującymi butelkami

Wk potem  
- zajął się  
przebiegł tego  
Wrocław

wina. Na dworzu był upał, bo był to przecież maj, a w tej piwnicy było chłodno. Napiliśmy się tego wina, smakowało to jak oranżada, było bardzo przyjemne, musujące. Ale nie zdawaliśmy sobie sprawy, że jak wyjdziemy na powietrze, to złoży nas momentalnie. Ale jeszcze musieliśmy dojechać do jednostki. Naładowaliśmy więc sobie parę skrzynek tego wina i pojechaliśmy do jednostki, gdzie zameldowałam o znalezisku w tym zamku. Po drodze zatrzymał nas żołnierz rosyjski z prośbą o podwiezienie. Usiadł na skrzyni i musiał napić się też tego wina, bo na jakimś zakrecie spadł mi ze skrzyni. Moją dowodca dostał zaraz telefon z radzieckiej jednostki, że o mało co nie zabił radzieckiego żołnierza. Dostałem wtedy karę ścisłego aresztu. Mieścił się on w piwnicy, gdzie było mi zupełnie dobrze, bo ~~kollega~~ <sup>panował</sup> przez okno nawpychał mi jakichś kolderk i poduch, podał mi też wina. Czulem się więc tam jak w raju! Załowałem tylko jednego, że w tym areszcie któryś z wartowników buchnął mi zdobyczny przepiękny zegarek. Był on ze złota i cudnej roboty.

Tam właśnie niedaleko Pragi nastąpiło spotkanie naszej jednostki z jednostką bodajże amerykańską. Ja pamiętam tylko pierwsze toasty - nie mogliśmy się porozumieć, ale było pełne zbratanie żołnierzy obu armii.

Jeszcze jeden epizod zdobyczny muszę opowiedzieć, bo miało to dla mnie dalsze konsekwencje. Kiedyś z moim pomocnikiem zajechaliśmy przypadkiem moim doggem do jakiejś lesniczówki, aby się czegoś napić. Była tam wielka kopa siana, która on za pomocą szpikulca zaczął sadować. Okazało się, że w środku coś jest ukryte. Poleciliśmy Niemcom z tej lesniczówki rozrzucić to siano i okazało się, że jest tam ukryty samochód, nowiusienki model mercedesa, z pięknymi, skorzanyimi siedzeniami. Cudo! Samochód był bez kół, ale jak pogroziliśmy bronią - kółka się



znalazły. Nawet benzyna była w baku. I tym samochodem pojechałem do dowodcy jednostki. A on na to - to będzie dobry podarek dla naszego dowodcy brygady, z którym nota bene wcześniej jeździłem. Ucieszył się on i kazał sobie dostawić ten samochód wraz z kierowcą. Od tego czasu zacząłem jeździć z tym dowódcą brygady.

Po zakończeniu wojny nasza jednostka zaczęła kwaterować w Ostrowiu Wielkopolskim, a później w Biedrusku pod Poznaniem. Cały czas wtedy jeździłem nadal z tym dowódcą brygady. Był to Rosjanin, który wtedy dostał już awans na generała. Przyjechała do niego wówczas żona z córką i razem tam mieszkali. Pojździeń 1945 r. dostał on rozkaz wyjazdu do Związku Radzieckiego i zameldowania się w Moskwie. W Ministerstwie Obrony. Był to starszy już człowiek, bardzo surowy i ostry, ale bardzo przyzwoity. Wszyscy bardzo go szanowali.

Wzywał mnie on do siebie, powiedział, że wraca do Moskwy, ale zaproponował, abym ja go odwoził. Rozkazem Zymierskiego dostał on na własność tego mercedesa. Tym mercedesem i studebakerem załadowanym po brzołę zdobyczą dostał pozwolenie wyjazdu. Nic nie miałem do powiedzenia, zresztą nie miałem też nic przeciwko temu, oczywiście zamierzałem zaraz wrócić. On mieszkał w takiej miejscowości za Moskwa, jeszcze za Gorkim 76 km. Nazywała się ona Wiaźniki. Najpierw pojechał ten studebaker z żoną, a my mieliśmy najpierw jechać do Moskwy.

W Moskwie byliśmy przez pewien czas. Zabawne było, bo ja byłem starszym szeregowym, a on mi kazał przed wyjazdem do Moskwy użyć taki mundur, że w Moskwie oficerzy bili mi w dach. W Moskwie miałem dużo czasu, bo on załatwiał jakieś sprawy.

Ten generał zaczął na mnie wywierac nacisk, abym nie wrócił do Polski, tylko został w Związku Radzieckim.

lub  
spychałoby

Tłumaczył mi, że tutaj jest tyle ciekawej pracy dla mnie, a on mnie dobrze urządzi.

Jak już wreszcie pojechalismy do tego kolchozowego pasiolka, z którego on pochodził, to wyszła nam na powitanie cała ludność na parę kilometrów przed tym pasiolkiem. Z harmoszkami, korowodami dziewcząt, ze śpiewami. Takie było powitanie syna tego pasiolka, który urosł do rangi generała.

Potem była uczta kolchozowa. On cały czas mnie namawiał, abym został, mówił, że mnie ożeni, dostane mieszkanie i wszystko, co potrzeba.

Jak tylko jednak ten generał wyjechał na front japoński - odwoziłem go do pociągu, wróciłem i zabezpieczyłem samochód, pożegnałem się z jego żoną i wyjechałem do Polski. Był to grudzień 1945 r.

Nie wiedziałem, co robić, czy wracać do Biedruska, czy zorientować się, co dzieje się z rodziną. Przede wszystkim chodziło mi o siostrę Ninę i o matkę. Pojechałem do Krakowa i tam od wujka dowiedziałem się, że mąż mojej starszej siostry, Jurek, też wojskowy, jest z Niną w Jeleniej Górze. Pojechałem więc od razu do Jeleniej Góry. Okazało się, że ten Jurek Gwozdzi<sup>z-ca</sup> jest tam dowódcą jednostki. Był on właściwie Rosjaninem polskiego pochodzenia, od małego dziecka wychowywał się w domach dziecka, jako sierota po Polakach. Więc wszystko, co miał zakodowane, było rosyjskie, język polski też zapomniał prawie całkowicie. Ale jednak czuł, że jest Polakiem. Siostra była w plutonie fizylierskim, a on jednym z dowódców. Poznali się w wojsku i pobrali. W jednostkach byli przeważnie razem.

Przyjechałem do Jeleniej Góry i on mi zaproponował, abym już nie wracał do swojej jednostki, ale że mnie tutaj zamelduje a po pewnym czasie zostanie zdemobilizowany.

W tym czasie chętnie zwalniali frontowych żołnierzy, bo w służbie sprawiali oni wiele kłopotów, będąc nieorzeczajomnymi do koszarowej dyscypliny. Nie było więc z tym wielkich problemów.

Zwolnili mnie z wojska rzeczywiście, zostałem zdemobilizowany w lutym 1946 r.

Jeszcze przedtem przyjechała do kraju matka i przyjechała do Jeleniej Góry. Nie widziałem się z nią od 1943 r.

Ojciec w 1942 r. zmarł. Mieszkał on u swojego brata koło Kielca i strasznie tęsknił za nami. Coraz bardziej podupadał do zdrowia i wreszcie dostał wylewu i zmarł.

*Janusz Antoniewicz*  
*III-91 Ch. Jh*